

Piotr Zalone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

5

Ciąg dalszy.

— Do diabła! To zawsze wywołuje podobny skutek — zawołał Rigolo — a teraz, kiedy się już należycie przedstawiłem, pozwól pan, że dalej mówić będę. Mamy trochę czasu przed sobą; nie nadużyję więc łaskawości pana... Zechciej mi pan zatem odpowiadać, nie zrażając się niedyskretnymi pytaniami, które mi pana obrzuca.

Rigolo wstał, Jerzy również podniósł się z krzesła.

— To, co mi się przytrafiło, mogło dobrze zdarzyć się każdemu innemu, ale że mnie się to zdarzyć mogło! Jednakże nie będę już wracał do tego, tylko postaram się to naprawić, a myślę, że pan mi w tem dopomoże.

— W jaki sposób?

— Oto tak. Przedewszystkiem jedno pytanie: pan się naprawdę nazywa Jerzy Beraldi?

— Zapewne.

— Przybył pan wczoraj do Cabrol?

— Rzeczywiście.

— I przybył pan z Paryża?

— Tak jest.

— Cudownie... to jasne... idę dalej... Cztery dni temu w Paryżu, o północy, wyszedł pan przez ul. Gabryela z parku otaczającego willę hr. Senneterre?...

Młody człowiek brwi zmarszczył.

— Kto panu o tem mówił? — szepnął.

— Oh! to nie było tak trudnem dowiedzieć się o tem. O tej samej godzinie znajdowałem się ukryty za wielkim drzewem na ul. Gabryela i widziałem pana tak, jak go teraz widzę.

— Przyszedł mnie pan śledzić?

— Przyszedłem tam, bo tego wymagało moje rzemiosło, drogi panie! Pewne okoliczności kazały mi przypuszczać, że w willi Senneterre dzieje się coś niezwykłego i przekonałem się, że się nie mylę. Uwaga moja była rozbudzona; na pana ją też skierowałem i śledziłem pana; odprowadziłem — naturalnie w przyzwoitej odległości — do ul. Faitbout. Pan się nie domyślał niczego i to właśnie podniosło pana w moich oczach... Pan jesteś zakochany i myślałeś tylko o osobie, którą opuściłeś. Gdyby pan był mniej roztargniony, byłbyś dostrzegł rzecz, która mojej uwagi nie uszła.

— Cóż takiego?

— Nietylko ja pana śledziłem.

— Co pan mówi?

— Na przeciwnym chodniku człowiek jakiś szedł i ten, zaręczam panu, nie spuszczał z pana oka.

— Któż to mógł być?

— Gdy pan wszedł do siebie, człowiek ten również chciał wrócić do swojego mieszkania, więc ma się rozumieć pomknął cichutko za nim aż do jego mieszkania na ul. Heder.

— A więc pan wie, jak się nazywa?

— Hrabia des Tournelle.

Jerzy stłumił okrzyk wybiegający mu z piersi; Rigolo zaś widząc jego wzruszenie, zadrżał nerwowo...

— Ah! ah! — szepnął — pan go widocznie znać musi.

— Tak, tak!... wybac pan... mów dalej... To przecież nie wszystko, co mi miał do powiedzenia...

Rigolo przypatrywał się teraz młodemu człowiekowi przenikliwie; miał się na ostrożności.

— Rzeczywiście, to nie wszystko — rzekł po chwili — słowa służącego hrabiego, których nie mogę panu jeszcze powtórzyć, zaciekały mnie niemało. Postanowiłem zbadać rzecz całą. Chciałem wybadać zwyczaje hrabiego i znajomości. Nazajutrz widziałem go idącego na plac Maubert, potem na ul. des Portes, nareszcie wieczorem zniknął mi w willi Senneterre.

Jerzy powstał. Śmiertelna bledność pokryła jego rysy. Pierś podnosiła się nierówno.

— Willa Senneterre — rzekł głucho — pan widziałeś, jak wchodził do willi Senneterre?

— Naturalnie! Ciekawość moja, jak panu mówiłem, była bardzo podniecona. Miałem różne podejrzenia, które pragnąłem rozświecić. We dwa dni później dowiedziawszy się, że mój ptaszek opuszcza Paryż, postanowiłem dalej go śledzić i przekonać się ostatecznie, czy podejrzenia moje były słuszne. Udałem się więc do Montauban.

— Tak, jak i ja?

— To dziwne, nieprawdaz? Ale co naprawdę wydaje się nieprawdopodobnem — to to, że zaledwie przybywszy do Montauban, podczas gdy pan siadał do karetki, mającej pana zawieść do Cabrol, on udał się do znanego w okolicy pewnego mieszkania, zwanego „Samotnym Domem“.

Jerzy pochwycił rękę ajenta.

— Powiadasz pan, że hrabia był tej nocy w „Samotnym Domu“? — wyszeptał prawie nieprzytomny.

— Tak jest — rzekł Rigolo.

Młody człowiek utopił rękę nerwowym ruchem w gestych zwojach włosów i potrząsnął energicznie głową.

— Mój Boże! — zawołał — ależ to stracić rozum można!... a więc ten szelest, który słyszałem, te słowa...

— Tak, to był on! Znajdowaliście się razem w „Samotnym Domu“ i to mnie w błąd wprowadziło, bo ujrawszy konia uwiązane u bramy owego domu, myślałem, że należy do niego i dopiero przed chwilą, spojrzawszy na pana, przekonałem się o omyłce.

— Doprawdy — rzekł gorączkowo — to wszystko jest naprawdę bardzo szczególne! Ale teraz, kiedy pan poznał swoją pomyłkę, powiedz mi pan...

Rigolo miał już coś odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły, a do pokoju wszedł chłopak hotelowy.

— Co tam? — zapytał Jerzy niecierpliwie.

— Przepraszam, że osmielałem się przeszkadzać panu, ale tam na dole jest jakaś kobieta, która pragnie pomówić z p. Jerzym Beraldim.

— Kobieta? Do mnie?

— Co mam odpowiedzieć?

Jerzy nie zdążył odpowiedzieć, gdy do pokoju weszła kobieta w ciężkiej żałobie. Gesty welon zakrywał jej rysy.

— Błagam pana — rzekła głosem stłumionym — miej litość... muszę z panem mówić... wysłuchaj mnie!

Jerzego owładnęło uczucie silniejsze od jego woli i ruchem stanowczym odprawił chłopaka. Wtedy nieznajoma podniosła welon. Była to Roma, żona Jakóba Mayot. Jerzy cofnął się w tył przerażony.

— Pani! pani tutaj — wyszeptał drżącym głosem i machinalnie odwrócił się, upatrując po pokoju Rigola.

Ale ten znikł. Kiedy się oddalił? Jerzy nie wiedział. Jednakże nie zastanawiał się dłużej nad tem i żywo podszedł do żony Jakóba Mayot. Roma nie ruszyła się z miejsca. Stała wyprostowana, z twarzą bladą jak kreda, ręce skrzyżowała nagle ruchem na piersiach w oczekującej postawie.

— Pani u mnie? — powtórzył Jerzy. — Co panią popchnęło do tego kroku i co masz do powiedzenia?

Równocześnie podsunął jej krzesło i ruchem ręki prosił, by spoczęła. Opadła na krzesło bezsilna, jakby pod ciężarem okropnego cierpienia.

— Rozumiem zdziwienie pana — rzekła cicho — zdawałoby się, że po rozmowie z Jakóbem Mayot niczego byś się już więcej dowiedzieć nie mógł, a jednak...

— Wiadomem więc pani jest, co mnie wczoraj sprowadziło do „Samotnego Domu“?

— Tak jest — odpowiedziała Roma.

— Mój ojciec?

— Byłam świadkiem ścięcia hr. Torella i znałam mi są wszystkie okoliczności zbrodni, za którą został skazany.

— Ależ on był niewinny! A czy Jakób Mayot ma w rękach jakie dowody, któreby mogły posłużyć do ujawnienia niewinności hrabiego?

— Jakób Mayot nie wie o niczem.

— Któż więc posiada tę straszną tajemnicę?...

— Ja!

— I pani nic nie powiedziałaś?

— Nie mogłam.

— Jakto? Popęłiłaś pani drugą zbrodnię. Pozwoliłaś, by zginął hańbiącą śmiercią człowiek zupełnie niewinny?

— Jest to wyrzut, który mnie dręczy od owej krwawej, okropnej nocy, ale powtarzam panu, nie mogłam inaczej uczynić.

— A więc po co przyszłaś pani tu dzisiaj? Czego chcesz odemnie?

Żona Jakóba Mayot milczała długą chwilę. Oczy bez wyrazu wlepiła uporczywie w podłogę. Jakaś walka głucha toczyła się w jej duszy — po bladej twarzy raz po raz przebiegały skurcze. Widocznie było, że kobieta waha się z odpowiedzią.

Jerzy podniecony i pchany gorącą ciekawością, nie spuszczał z niej oka, nie mogąc jednak pojąć, co wywołuje to pomieszczenie kobiety.

— Pani milczysz? Nie chcesz nic powiedzieć? — spytał w końcu głosem, w którym się przebiegał gniew tłumiony.

— Milczę i wiem, że źle czyuję — szepnęła Roma z wysiłkiem. — Przyszedłam tu, aby z panem pomówić i mówić muszę. Wysłuchaj więc mnie pan i we własnym interesie więcej, aniżeli w moim, nie odmawiaj mej prośbie.

— O co pani chodzi?

— Chodzi mi o hr. Torella.

— O mojego ojca?

— Wczoraj jeszcze, gdy przybyłeś do Jakóba Mayot, jedynie miłość synowska kazała ci wierzyć w niewinność twojego ojca.

— Żyłem z ojcem długie lata i wiem, że nie mógł popełnić zbrodni, o którą go posądzili.

— Jednakże nie posiadał pan żadnego dowodu?...

— Żadnego.

— A więc co byś uczynił dla kogoś, któryby ci przedstawił realny dowód niewinności hrabiego?

Jerzy powstał blady.

— Ah! — zawołał — osoba ta może żądać mojego majątku... a oddam go jej natychmiast.

— Podobnej ofiary nikt od pana nie zażąda!...

— A więc czego?

— Prawie niczego.

— Przecież...

Zaległo milczenie; po twarzy tej niezwyklej kobiety przemknął uśmiech tajemniczy.

— Pan się wybiera do Paryża? — zapytała drżącym głosem, zbliżając się do Jerzego.

— Tak, za godzinę.

— I zamieszka pan na ul. Faitbout?

— Rzeczywiście. Ale kto pani o tem mówił?

— Mniejsza o to, skoro wiem. Zatrzyma się pan na ul. Faitbout i pierwszą rzeczą, jaką zapragniesz uczynić, będzie rozpoczęcie poszukiwań, które doprowadzą do oczyszczenia nazwiska pańskiego ojca. Przychodzę zatem prosić pana, abyś tego nie czynił. Prośba moja wyda się panu szczególną, ale zmusza mnie do niej — wierzę mi — interes wyższy, który panu wytłumaczę później.

— A więc panią jeszcze zobaczę?

— Tak, ale do tego czasu, panie Jerzy Beraldi, bądź pan ostrożny, a przedewszystkiem dyskretny. Nie powierzaj nikomu, słyszysz: nikomu! tajemnicy, którą nosisz w sobie i celu, za którym gonisz. Jeżeli mnie pan posłucha, przysięgam, że rok nie ubiegnie, a straszną pomyłkę, której ofiarą padł hr. Torella, stanie się jawną.

Jerzy, słysząc te słowa, mimowoli zadrżał. Działo się z nim coś niezwykłego. Napróżno męczył się, by odkryć tajemnicę, która go otaczała i zapytywał się, czy postąpić szlachetnie, czyniąc zadość żądaniu tej kobiety. Podniósł głowę i spojrzał Romie głęboko w oczy.

— Niech i tak będzie — wyrzekł głosem stanowczym i pewnym. — Tylko pozwól mi pani uczynić jedną uwagę.

— Jakaż to?

— Powiedziała pani, co się stać może, gdy pójde za jej radą, ale zapomniała pani wyjaśnić mi punktu jednego, nie mniej przecież ważnego...

— Co pan chce powiedzieć?

— Przypuśćmy, że odmawiam.

— To nie może być!

— Dlaczego? Nie znam pani, dziś widzę panią po raz pierwszy... Czy byłoby to bardzo niewytłumaczonem, gdybym dziś jeszcze, powróciwszy do Paryża i nie zwracając uwagi na słowa pani...

— Oh! pan tego nie uczynisz! — przerwała żywo żona Jakóba Mayot, a mówiąc to, uchwyciła energicznie ramię młodego człowieka. Oczy jej błysnęły dziko, wargi skrzywiły się w nerwowym skurczu, a przytłumione łkanie wybiegło z piersi.

— Pan tego nie uczynisz — zawołała z siłą — dla siebie, dla mnie! Zaklinam pana: porzuć to postanowienie!

— To jest moim obowiązkiem i wypełnić go muszę!

— Ależ pan nie wie... Nieprzyjaciele pana czuwają.

— Chcesz mnie pani przestraszyć?

— Droga, po której iść zamierzasz, jest pełna niebezpieczeństw... zasadzek!... Bóg sam nie będzie mógł uchronić pana od tego, co pana czeka!...

Jerzy ruszył ramionami.

— Napróżno starasz się pani odwieść mnie od